

Od autora: z cyklu Opowieści wierutne - Tryptyk współczesny.

Nawet Bóg nie potrafi

kochać i być mądrym.

Giacomo Casanova

Opowieść o odkupieniu

– Nazwisko! – powiedział surowo prokurator.

Badany zawahał się przez chwilę.

– Godson – szepnął niepewnie.

– Imię?

– J.C.

– Dziej-si? – spytał protokolant. – To skrót. A całe?

– Jesus Christ.

– O Dżizus! Ale cię nazwali! – nie wytrzymał piszący, lecz szybko pod karcącym wzrokiem prokuratora pochylił się ponownie nad formularzem.

– A więc, J.C. – powiedział prokurator. – Zawód?

– Właściwie to mesjasz, chociaż nauczono mnie stolarki... – zaczął mówić przesłuchiwany i zdziwił się na widok uśmiechu, który jak cień przemknął po wargach protokolanta.

– To nawet logiczne – stwierdził prokurator i też jakby się uśmiechnął. – Miejsce urodzenia, oczywiście, Bethlehem? – pozwolił sobie na sarkazm.

– Zgadza się – potwierdził zapytany, a wyraz zdziwienia na jego twarzy pogłębił się i utrwalił.

– Miejsce zamieszkania?

– Nazaret – powiedział cicho J.C. i nikogo to już nie zdziwiło.

– Co robiłeś pod Kapitołem? – zapytał prokurator. – Czemu brałeś udział w zamieszkach przeciw-rządowych?

J.C. pokręcił gwałtownie głową.

– Nie brałem udziału w żadnych zamieszkach! – oświadczył z mocą. – Przechodziłem tylko tamtędy. Akurat, gdy trwały. Próbowalem pomóc...

– Włączając się do bójki? – przerwał ironicznie prokurator.

Stojący obok policjant pochylił się nagle do jego ucha i coś tam szeptał przez chwilę.

Prokurator zastanowił się i pokiwał głową.

– Nienotowany... niekarany... Tym razem ostrzeżenie. Wziąć odciski palców, wprowadzić dane do kartoteki i wypuścić. Ale następnym razem, panie Godson – zwrócił się do J.C. – już żadnej taryfy ulgowej nie będzie. Proszę pamiętać.

– Gdyby nie to, że dosłownie uratowałeś mi skórę, palcem bym nie ruszył – powiedział cicho gliniarz, wyprowadzając go na korytarz. – Jakim cudem udało ci się złapać ten kamień?

J.C. westchnął. Wcale go nie złapał. Po prostu w ostatniej chwili zasłonił faceta samym sobą i kamień odbił się od jego głowy. Dotknął ostrożnie guza na skroni. Bolało jak wszyscy diabli.

– Zaczekaj tu – polecił glina i J.C. posłusznie opadł na ławkę stojącą pod ścianą, na której, skulony, siedział jakiś zarośnięty człowiek w kolorowych szatach. Popatrzyli na siebie.

– Też z tej draki pod Kapitołem? – zapytał kolorowy i obrzucił szybkim spojrzeniem długie włosy i brodę Godsona. – Z daleka jesteś?

– Z daleka... – powiedział cicho J.C.

– A masz gdzie mieszkać? – zainteresował się rozmówca i dodał, nie czekając na odpowiedź: – Jestem Peter. Jak chcesz, możesz zatrzymać się u nas. A tak właściwie, co tu robisz?

J.C. westchnął powtórnie. Właśnie, co on tutaj robił... Wcale nie był zachwycony pomysłem Starego, by wrócić na Ziemię. Szczególnie wobec ostatnich doniesień. Ale cóż, Stary się uparł. Dwadzieścia wieków, powiedział, trzeba sprawdzić, co się dzieje, pouczyć, ponaprawiać trochę.

I bęc! Jest tutaj i nawet nie bardzo wie, od czego ma zacząć. Próbował pomóc i z miejsca został zwinięty przez gliniarzy. W dodatku bolała go głowa.

Nieżyły początek – pomyślał.

Oczywiście nie spodziewał się hucznego przyjęcia. Chociaż, kto wie? Przy takim zasięgu chrześcijaństwa? Nawet sądził w głębi ducha, że jak co, to wcale nie byłby zdziwiony. Tym niemniej powitanie, jakie mu zgotowano, zaskoczyło go całkowicie. Nikt niczego nie zauważył!

Ludzie, zajęci wyłącznie własnymi sprawami, przechodzili obok niego obojętnie, najwyżej lekkim uśmiechem kwitując nieśmiałe próby nawiązania kontaktu. A co dopiero, kiedy usiłował się przedstawiać.

W swojej naiwności spróbował nawet zacząć od nowa, od samej góry. Dotarł do bram Watykanu, potem w tłumie pielgrzymów patrzył, jak papież pojawia się w oknie, ale kiedy chciał spotkać go osobiście, ze zdumieniem usłyszał, że na audiencję trzeba czekać blisko dwa miesiące.

Czekał więc, nawet znacznie dłużej, nim zapisano go w końcu jako pielgrzymą gdzieś tam z Pensylwanii. To wtedy po raz pierwszy podał nazwisko Godson. Jakimś cudem wkręcił się do amerykańskiej wycieczki i tak już zostało.

Wszystko wyjaśnię – myślał – gdy tylko uda mi się dostać przed oblicze papieża.

No i się dostał. Pielgrzymi podchodzili kolejno, by ucałować papieski pierścień, a kiedy podszedł i on, mówiąc, kim jest, papież uśmiechnął się dobrotliwie i kładąc rękę na jego głowie, wymamrotał łacińskie błogosławieństwo. Zaraz potem audiencja się zakończyła i wyprowadzono ich z sali.

Oczywiście, zostały jeszcze media. Mógł iść do prasy, udzielić wywiadu... Bardzo szybko jednak wywietrzało mu to z głowy. Zaczynał mieć już niejaki pojęcie, co robi się z wariatami. A cuda? Wzięto by go przypuszczalnie za iluzjonistę i taki byłby koniec. Poza tym musiałby mieć agenta, menadżera i jakiś drobny kapitał na początek. A on zjawił się przecież z pustymi rękami.

Żeby zarobić na życie, przez całe lato pracował jako pomywacz w hotelu. To tam znalazł zgubiony paszport i pomysł wyjazdu do Stanów nabrał konkretnych wymiarów.

No i jest tutaj. A co dalej?

Z zamyślenia wyrwał go znajomy gliniarz, prowadząc do pokoju, gdzie pobrano mu odciski palców, zrobiono zdjęcia, a potem znalazł się na zewnątrz i nie bardzo już wiedział, co ze sobą począć.

– To Mary M. – powiedział Peter, podchodząc do niego z jakąś dziewczyną ubraną w cudaczną kieckę obwieszoną frędzlami.

Zabrali go ze sobą i tak już zostało. Owa kolonia dzieci-kwiatów była właściwie jedynym miejscem, gdzie go akceptowano. Oni przynajmniej wierzyli w miłość, chociaż forma, w jakiej dawali temu wyraz, niezupełnie mu odpowiadała. Ale cóż, teraz należał do nich i oczywiście robił to, co inni. Nie miał wyjścia. A Mary M. była w końcu całkiem ładną dziewczyną, gdy się już ściągnęła z niej te wszystkie wymyślne okrycia.

A potem Peter dostał wezwanie do wojska. Stawił się uczciwie przed komisją, chociaż większość spaliła swoje powołania. Poszedł z nim razem. Dla towarzystwa jedynie. Dlatego długo jeszcze nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że jego też wzięli.

No i obaj wylądowali w Wietnamie. Nawet myślał, że może to dobry początek, że uda mu się jakoś przerwać tę bezsensowną walkę. Pomysł ten jednak bardzo szybko partyzanci wybili mu z głowy. Ledwo z życiem uszedł. I jak przedtem, nikt go nie chciał słuchać. Zabijać oczywiście nie mógł, więc dekował się gdzie popadło i przynajmniej próbował pomagać przy rannych i chorych. W rezultacie znalazł się w szpitalu polowym. Przygasł, posmutniał, a już kroplą, która przepełniła czarę, były słowa rannego żołnierza, gdy chcąc natchnąć go otuchą, zaczął mówić o Bogu, boskiej miłości i o miłosierdziu.

– Fuck off – wyszeptał żołnierz, odwracając głowę.

Przetrwał jakoś i wrócił. Ale dzieci-kwiaty zniknęły i znowu znalazł się w pustce. Mary M. odeszła, może umarła... A jedynym śladem, na jaki natrafił, była wiadomość otrzymana przez kogoś, że synka zamierza oddać do adopcji. Jeden tylko Bóg wiedział, czyje to było dziecko.

Tak więc został bezdomnym. Stracił kontakt z ludźmi, rosło nowe pokolenie yuppies i nikt nie próbował go nawet wysłuchać. Aż wreszcie przyłączył się do wędrownego kaznodziei i zaczął objeżdżać z nim małe miasteczka, gdzieś na peryferiach Stanów. Spróbował ostrożnie zrobić parę cudów, wpadło nieco forsy i założyli własny Kościół. Kościół Powtórnego Odkupienia.

Paul był niezłym kompanem, a jeszcze lepszym show- i biznesmenem. Teraz już, także dzięki niemu, zaczął zdawać sobie sprawę, co ten świat nakręca, i powoli przyzwyczaił się do nowego życia. Nie opuścił Stanów, wychodząc z założenia, że ludzie wszędzie są jednacy. Zresztą, wobec nieustannych pielgrzymek papieża, uznał to za zbyt łatwe. Wiadomo, nie mógł rywalizować z nim na płaszczyźnie autorytetu.

Żył więc spokojnie, głosząc słowo Boże, i pewnie długo jeszcze by tak trwało, bo zostawiono mu w końcu wolną rękę, jeżeli chodzi o czas pobytu na Ziemi, a i Stary chciał, żeby doczekał schyłku stulecia – nie spieszył się więc i wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej, gdyby nie czysty przypadek.

Źle zmontowane rusztowanie namiotu puściło w czasie kazania. Wierni wpadli w panikę i on, niewiele myśląc, rzucił się naprzód, z całej siły podpierając uniesionymi, o ironio, na kształt krzyża rękami, główny wspornik utrzymujący tę całą konstrukcję.

Wszyscy zdążyli uciec. Na szczęście. Tylko nie on. Co zresztą można było przewidzieć. A kiedy podniesiono przygniatające go belki i ludzie z zalem zaczęli gromadzić się wokół, miał dosyć.

– Dla was dobry Bóg, to martwy Bóg – stwierdził z goryczą i odszedł.

Resztę oglądał już z góry.

– Nazwisko! – surowo powiedział prokurator.

Paul zawahał się.

– Mówił, że Godson – odparł niepewnie.

– Imię?

– J.C.

– To skrót od czego? – spytał protokolant.

– Od Jesus Christ – wyjaśnił trochę speszony Paul.

– O Dżizus! Ale go nazwali! – wyrwało się komuś.

– Miejsce urodzenia, oczywiście, Bethlehem... – pokiwał głową prokurator, zajrzawszy do jakichś papierów. – Notowany, ale niekarany. A zresztą, co to ma do rzeczy. W końcu uratował tylu ludzi. Pochować na koszt miasta – wydał decyzję i zamknął dochodzenie.

– A nie mówiłem? – skwitował Judasz, agent do Spraw Ziemskich Specjalnej Służby Wywiadowczej Nieba.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miladora, dodano 05.12.2017 15:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.